Rok IX. Dnia 16 (28) Stycznia 1888 r. № 4.

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Wyścigi psów.

DO WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW.

W prospekcie do Wieczorów ogłoszonym w ostatnich dniach roku zeszłego i dołączonym do Pisma, ogłosiliśmy, że początek powieści W *Imię Koleżeństwa* dodaje się *tylko* dla prenumeratorów *całorocznych* którzy złożyli opłatę *wprost do redakcyi* bez pośrednictwa księgarni. Powtarzamy to obecnie ażeby uniknąć nieustannych domagań się początku tego przez prenumeratorów za pośrednictwem księgarni i przez prenumeratorów kwartalnych lub półrocznych.

WYŚCIGI PSÓW.

U nas psy używane są tylko do polowania i stróżowania przy domu, ale na dalekiéj północy, u Eskimosów, zwierzęta te, wytrwalsze od innych na zimno, służą do zaprzęgu. Nie szukając nawet tak daleko, w Niemczech, w Belgii, psy często ciągną na targ małe wózeczki z różnemi produktami. Belgijczycy nie poprzestają na tem, lecz urządzają ze współudziałem poczciwych swoich piesków pyszne wyścigi, na rysunku naszym przedstawione. Współzawodnicy sadowią się w taczkach i pędzą, co pies wyskoczy; niemałéj potrzeba zręczności, aby się utrzymać w równowadze w tak niewygodnym wehikule, to też często tam wydarzają się przypadki, które jednak złych skutków nie pociągają za sobą. Ludność okoliczna z zapałem zazwyczaj przypatruje się osobliwszym wyścigom, urządzanym na gościńcu za miastem.

PRZYGODY LISIA.

Przysłowie dawne nasze polskie mówi: „Nie ten pociechą ojca i matki na starość, co ptaki, zwierzęta tępi, ale ten, co je pielęgnuje i żywi". O trafności tego przysłowia przekonałem się z przykładu dwóch chłopaków, których dla biedy w chałupie rodzice mi do służby oddali.

Walek był w stajni, i co mógł łapał, aby mordować, dręczyć. Augustynek był przy kredensie i poczciwy od męczarni brata co mu się udało wypraszał, chował, karmił, sam nieraz nie dojadł, aby pomódz biednym przez siebie protegowanym zwierzątkom.

Przychodzi raz do mnie ów Augustynek, i pyta mnie, czy ja na to pozwolę, aby chował w moim domu szczenię po liszce (samicy lisa) przez myśliwych zabitéj, które on znalazł osierocone w boru, ledwo że patrzące dopiero na oczy.

Głównie mu chodziło o mleko dla odżywienia szczenięcia, a tego litościwa nawet pod innym względem gospodyni, bez mego pozwolenia odmawiała; powiedziałem mu, że może trzymać szczenię, byle o niem pamiętał, bo nic niema przykrzejszego nad widok głodnego opuszczonego zwierzęcia. Skutkiem téj mojéj dyspozycyi, pod pieczą i strażą dobrego serca Augustynka, szczeniak wyrósł na młodego lisa. Gdy wyrósł z mruczącego i złego wciąż stworzonka, pokochali go dla rozumu wszyscy, nawet gospodyni, co mu żałowała była mleka.

Lisio, jak go przezwano, znał z domowników każdego, przed takimi, o których miarkował, że są jego nieprzyjaciołmi, jak np. pochmurny wiecznie Walek, chował się pod pierzyny gospodyni, dla innych, gdy czuł, że mu przychylni byli, przymilał się, kręcił póty kitą swoją, aż zyskał to, czego żądał. Codziennie więc wpadał i na moje pokoje, jakby na dzieńdobry, milił się i łasił do mnie, potem znikał.

Widywano go i o kilka wiorst drogi, po krzakach i lasach, mimo to, gdy tylko u mnie przy nakrywaniu do stołu zaczęto pobrzękiwać talerzami, zaraz się mój Lisio zjawiał i śniadaniom, obiadowi, pilnie asystował. Pamiętam przyjechał do mnie geometra Niemiec rodem, flegmatyk i powolny. Kazałem przybyłemu podać śniadanie czy obiad. Mój Lisio, temu obecny, nuż Niemcowi wolno jedzącemu z widelca ściągać kawałki mięsa, które niósł do ust: naściągał mu ich tyle przez rozlazłość Niemca, pośród jego przekleństw na łakomca, że obawiając się, aby geometra nie był głodny, musiałem kazać nowe porcye podać.

Najwięcéj mnie Lisio bawił, gdy go brałem z sobą na poobiedni po polach spacer. Otoczony chartami, ogarami i kundlami, które dla przewietrzenia się brałem z sobą, nic sobie z nich nie robił, oglądając się filuternie na mnie, jakby mówił: Tyś człowiekiem, co mnie kocha, jednem słowem dasz radę téj hołocie całéj, przy tobie ja się ich nie boję. Czasami psy wywoływał na wyścigi, mydlił ich zabiegi swoją kitą, a gdy go bardzo psy natarły, do moich nóg się chronił. Najrozkoszniejszym był, gdy gdzie były krzaczki, na nich poobsiadały wróble, trznadle i inne ptactwo; wtedy mój Lisio, chcąc którego złapać, kładł się na ziemię, udawał, że śpi, albo udawał, iż ich bardzo kocha, i póty im się milił, aż który łatwowierny do niego się zbliżył; wtedy rzucał się na niebacznego, ale ani razu przy mnie żadnego z tych ptaków w pazurki swoje nie dostał.

Karmiony dobrze i regularnie, nie czynił w drobiu domowym żadnéj szkody, patrzył z rodzajem nawet uszanowania na chodzące po dziedzińcu kury, bo gdy raz jednę z nich pogonił i począł dusić, oberwał od gospodyni porządnie po skórze. Szczególne miał upodobanie do łapania i chowania futrzanych czapek, ile razy zatem czy żyd, czy chłop w takiéj się pojawił, Lisio póty na nią czatował, aż ją upolował i często tak gdzie schował, że i odnaleść trudno było. Na myszy, krety, po ogrodzie, podwórzu, nieustannie polował, kilka razy nawet przyniósł mi żywego tchórza i żywą łasiczkę.

Trwało to tak do następnéj wiosny. W te czasy mój Lisio zaczął nie bywać całemi dniami w domu, spotykano go bardzo daleko w boru, że przytem zarzucano mu, że zjadł gęś ogrodnikowi, chociaż to może na jego rachunek kto z ludzi zrobił, z obawy, aby w tych dalekich peregrynacyach nie zastrzelił go kto z obcych, kazałem mu zrobić budkę i na łańcuszku do niéj szkodnika przywiązać.

Odtąd mój Lisio stracił całą swoję dawną fantazyą, posmutniał, spał cały dzień albo ziewał, mnie jednak zawsze poznawał i łasił się do mnie; litując się nad nim, chcąc mu w jego niewoli ulżyć, kazałem przynajmniéj na noc spuszczać go z łańcucha, aby sobie swobodnie pobiegał.

Ale być może, że na uwięzi często zapominano o nim, źle żywiony, zaczął się dopuszczać różnych malwersacyj, mówiono, że przebiegle kury pod budkę zwabiał pozornem rzucaniem ziarna, a były to kamyczki, które na to zbierał; te zaś, co temu uwierzyły i zanadto się zbliżały, łapał. Często i gęsi w nocy ginęły sąsiadom, co na Lisia może niewinnego składano, aż nakoniec Walkowi koniarkowi na Wielkanoc coś zjadło zachowane święcone w stajni, może szczur, najprędzéj pies, ale niegodziwiec przypisywał to Lisiowi, i wieczną mu też za to poprzysiągł zemstę.

Zaraz nazajutrz w drugie święto ginie Lisio. Mnie wówczas nie było w domu, za powrotem pytam o niego, dla czego jak zawsze przywitać mnie nie przychodzi, odpowiedziano mi, że ponieważ z wiosną częste robił wycieczki do lasu, zapewne go ktoś nie wiedzący, iż to lis domowy, zabił, bo już kilka dni, jak go nie widziano. Na tem się karyera cała Lisia u mnie i skończyła.

Dopiero w miesiąc coś potem, gdym kazał wody upuścić ze stawu dla łowienia ryb, znaleziono zwłoki biednego Lisia z kamieniem uwiązanym u szyi, widocznie przez złość utopionego.

Nikt inny, oprócz Walka nie mógł się tego nikczemnego dla człowieka czynu dopuścić, skrytobójcą był on niezawodnie, mówili wszyscy, i ja o tem przekonany byłem także; ale że dowodu nie było żadnego, badany klął się na duszę, ciało, miłość rodziców, że tego nie zrobił, a podsuwał podejrzenie, że może w sąsiedztwie mieszkający kowal, także zły człowiek, tego się dopuścił, bo mu ginęły gęsi, wolałem rzecz

puścić płazem, przekonany, że prędzéj czy późniéj Bóg, który jest nieomylnym, lepiéj od ludzi wszelki czyn podły i nikczemny ukarze.

W lat dwa późniéj ów Walek, wieczny prześladowca ptasząt, psów, kotów, wzięty został do wojska. Tam był najgorszym żołnierzem, bo tchórz podły przed mocnymi na placu boju, tylko nad bezbronnymi znęcać się umiał, do tego nieposłuszny, niechlujny, częste a srogie odbierał kary.

Wróciwszy z wojska, zaczął się hardo domagać od starego ojca, któremu w kłopotach gospodarki jeden poczciwy przyjaciel i hodowca Lisia Augustynek stale pomagał, aby mu część należną sukcesyi po matce zmarłéj oddał. Stary Brona widząc, że co da Walkowi, przepije z innymi łotrami w karczmie, nieraz go pytał: „Co zrobisz bezsilny na starość? jeśli wszystko zmarnujesz za młodu?" i coraz mu mniéj dawał.

Rozgniewany ów bez serca zwierząt i ludzi prześladowca kiedyś za odmowę pieniędzy rzucił na ojca nożem, tak, że dawca życia i wychowania został raniony. Nie chciał pobożny staruszek rozmazywać téj familijnéj hańby, ale policya się dowiedziała. Walek poszedł do więzienia, przebywał między mordercami, zdrajcami, i tam swego mizernego żywota dokonał na więzienny tyfus. Czyżto nie słusznie powiedziałem, że stare nasze przysłowie ma racyą?

Téj manii zabijania i tępienia niepotrzebnego zwierząt, ptaków, robactwa, istot niewinnych, jest u nas do zbytku, a hodowców tak mało!

W sąsiednich Niemczech cała wieś, jak u nas, nie rzuci się za zbłąkanym biedakiem zającem lub sarną, żaden z gospodarzy nie pozwoli zrzucać swawolnikom bez serca gniazd ptasich. Tam bo też dziwy co do ochrony i hodowli pożytecznych zwierząt widzieć można. Na odgłos trąbki zbiegają się dziki, karmią je grochem, jelenie w żłobkach, albo z ręki dostają owsa, na dźwięk dzwonka płyną tuczne karpie po swój chleb codzienny. U nas niestety zanadto Walków, a zamało Augustynków mamy.

Wielisław.

WŚRÓD ZIMY.

Mróz w swe uściski uchwycił ziemię,
A na gałęzi ptaszyna drzemie.
Chłodno jéj, głodno, nigdzie robaczka,
Nigdzie z zieloną gałązką krzaczka.

Ni się pożywić, ni gniazdka zwić,
W zimie ptaszętom tak trudno żyć!

Słonko gdy błyśnie, ptaszek się sili
Zanucić piosnkę, słonko w téj chwili
Ukryje jasne promienie chłodne
I pozostawi ptaszyny głodne.

Oj, źle ptaszętom wśród zimy żyć,
Ni gdzie się ogrzać, ani gdzie skryć!

Wtem jeden ptaszek zakwilił rzewnie,
A Bóg go w niebie usłyszał pewnie,
Bo oto chłopcy, idąc z ślizgawki,
Rzucili na śnieg śniadania skrawki.

Dla ptasząt był to prawdziwy cud,
Zaspokoiły tem straszny głód.

Sfrunął więc ptaszek, drugi i trzeci,
Jeden odleciał, drugi przyleci.
A każdy chwyci po odrobinie,
I jakoś ptaszek z głodu nie ginie!

Bo i wśród mrozu i długich zim,
Opatrzność Boska czuwa nad nim.

Z. Morawska.

WYCIECZKA NA ŚWIĘTY KRZYŻ.

PRZEZ Stanisława z Warszawy.

Ofiarowana siostrze Jadwidze K.

(Dokończenie).

Zeszedłszy z wieży, po krótkim odpoczynku pożegnaliśmy uprzejmego i gościnnego ks. kapelana i inną już stroną góry zwolna spuszczaliśmy się na równinę. Ostatnie ztąd już spojrzenie na kościół Łysogórski, w którym każdy z nas doznał tylu uczuć, podnoszących duszę i serce do nieba, do Boga. Wspaniale rysowały się kontury olbrzyma wieków wśród drzew zieleni, inaczéj on wyglądał za czasów benedyktyńskich, tłumy potrzebujących rady, wsparcia i pociechy śpieszyły do jego progów i odchodziły zaspokojone. Teraz na nowo góra się zaludnia, lecz... kryminalistami, ożywia się lecz... przy odgłosie klątw i kajdan zbrodniarzy; może tu pod cieniem krzyża znajdą nawrócenie i skruchę!.. Smutne to i bolesne, ale... „fiat voluntas tua, Domine!"

Odosobnione położenie kościoła, zbudowany bowiem jest pośród ogromnych jodłowo-bukowych lasów, puszczą Świętokrzyską zwanych; góra, nad kilkunastu-milową panująca okolicą, na któréj wznosi swe mury; mnóstwo wreszcie narodowych i religijnych legend, do tych miejsc przywiązanych, wszystko to jest powodem, że wędrowiec zawsze z uszanowaniem zbliża się do świątyni Łysogórskiéj, tu u stóp krzyża Chrystusowego znajdzie spokój, pociechę i ulgę w cierpieniach.

Wracaliśmy w dziwnie podniesionym stanie umysłów, tajniki serca mimowoli się odkrywały, każdy chciał się podzielić doznanem wrażeniem. Na usta cisnęły się słowa pieśni, zdawna zasłyszanych, szczególniéj te przecudne strofy z Glozy św. Teresy:

„O jakże często we mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza,
I z poza wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
W któréj wśród niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia..."

Na tę nutę nastrojeni, snuliśmy daléj tę „marzeń przędzę i nitkę pajęczą." „Na pamięć nasuwały mi się niektóre ustępy z utworów mistycznego Zygmunta, p. S. mówił je daléj i tak często wiersz po wierszu, strofa po strofie, dobiegaliśmy do końca.

Tymczasem ukazała się wieś jakaś obszerna, woźnica wymienił jéj nazwę: Bieliny. Uprosiłem towarzyszy o zatrzymanie się tutaj chwilę, wstąpiliśmy do proboszcza X. P., autora wiersza w „Łysogórskiéj księdze pamiątek", który mi się nad inne podobał. Wyobraźnia i przeczucie nie zawiodło mię zupełnie; uprzejmy, gościnny i rozmowny ks. kanonik przedstawił nam arenę swéj przeszło 20 letniéj pracy kapłańskiéj. Kościołek drewniany, prawdziwie wiejski, bo pachnący kwiatami, czysty, jasny i schludny. Przypadek zdarzył, że w kilkanaście dni późniéj poznałem i X. Prof. C., który, jak o tem wspominałem, napisał w „Pamiątkowéj księdze," zastosowany do okoliczności wyjątek z „Boskiéj komedyi."

Wyjechawszy z Bielin spotykaliśmy na drodze szeregi włościan, powracających z targu kieleckiego, którzy pozdrawiali nas uchyleniem kapelusza i starodawnem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" To chrześcijańskie pozdrowienie, świadczące o dobrem usposobieniu ludu, mile wpada w ucho przechodnia. Tembardziéj, że ten pobożny zwyczaj zachowuje się prawie wyłącznie tylko w kraju naszym, choć niestety! i u nas w wielu miejscach zaciera się ta święta pamiątka żywéj wiary przodków. W tych jednak stronach lud w ogóle odznacza się prawdziwą pobożnością, ztąd też stan jego moralny i majątkowy przedstawia się korzystnie. Przyczynia się do tego po części, że w tych okolicach ludność żydowska jest niezbyt liczna, dopiero po r. 1860 wolno było się żydom tutaj

osiedlać, przedtem w całem Kieleckiem nie było ich prawie wcale. Trzecim wreszcie czynnikiem, podnoszącym dobrobyt włościan, jest poczciwa nasza ziemia rodzicielka, która wywdzięczając się za starania, około jéj uprawy ponoszone, obfitym plonem nagradza swych synów.

Tu i owdzie rozrzucone dworki świadczyły o blizkości miasta, jaskrawe słońce zasuwało się za lasy i góry na dalekim widnokręgu, gdyśmy wjechali do Kielc. Tutaj musieliśmy się rozstać i pożegnać, dziękując sobie wzajemnie za przyczynienie się do ogólnéj, przyjemnéj harmonii w czasie dwudniowéj wycieczki, wspomnienie któréj zapewne długo przetrwa w sercach naszych i posłuży za pociechę w ciężkich i trudnych życia kolejach, choć ..... nic tak nie boli,
Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli!..

CÓRKA KORYOLANA,

obraz historyczny

przez **Maryą Leonę.**

(Dalszy ciąg).

AKT III.

(Gyneceum, noc, Weturya przy świetle lampy siedzi na łożu, wstaje i przechadza się niespokojnie; po chwili wpada Marcya i obejmuje jéj kolana).

MARCYA *(z gwałtownym płaczem).*
Babko moja!
(po chwili) Ty nie śpisz? — więc wiesz?
(zatrzymuje się przerażona).

WETURYA.
Cóż to dziecię,
Wyszłaś ze swéj komnaty. O téj porze? Przecie
Nie mogłaś tam być samą. Gdzie piastunki twoje?
Gdzie matka twoja, Marcyo?

MARCYA.
Babko, ja się boję!...
Ja nie umiem powiedzieć, a ratunku trzeba,
A w ciebie ojciec wierzy, jak w te jasne nieba,
Jak w Bogów naszéj Romy...

WETURYA.
Mój syn? Cóż się stało?...

MARCYA.
Usypiałam... i wszystko wkoło usypiało,
Braciszkowie posnęli... wtem wśród nocnéj ciszy
Ucho me dwóch niewolnic rozmowy dosłyszy.
Lawinii brat powiedział, że Forum dziś rano
Trzęsło się groźną wieścią zewsząd rozgłaszaną:
Niesprawiedliwość Romy w krwawy kwiat wyrasta!
Koryolan wiedzie Wolsków na zagładę miasta,
Koryolan!... mój bohater!... ojciec!... *(wybucha płaczem).*

WETURYA.
Z twego łona,
Romo!... syn twój...

MARCYA.
Mówiły, że Roma zgubiona,
Że za dwa dni Koryolan stanie pod murami.
Babko!... my tam pójdziemy!... wstawisz się za nami,
Zbudzisz ze snów niedobrych, oburzenia szału,
Nie dasz synowi upaść!...

WETURYA.
Dziecię me, pomału..
Nic zdradzaj się — niech nigdy wiadomem nie będzie,
Że dziecko coś wiedziało o rodzica błędzie!

MARCYA.
Nie, on go nie popełnił, on nie zginął jeszcze!...
Babko!... Ciebie dręczyły przeczucia złowieszcze,
Jam to spostrzegła zdawna.. lecz umrzemy może,
Ale czci Koryolana żaden los nie zmoże,
I cześć jego nie zginie!...

WETURYA.
I nie zginie Roma!
Dnieje, twoja wycieczka może być wiadoma,
Matka twą bezsennością strwożona tam czeka..
(po chwili).
Pocoś z przyjściem czekała do tak późnéj nocy?

MARCYA.
Nie śmiałam... całą miłość wzięłam do pomocy,
Miłość moję dla ojca i miłość dla Romy,
By ujść uwagi matki, piastunki czujności,
By zbudzić cię—by mówić o jego *(z wahaniem cicho)* słabości...

WETURYA.
Idź, dziecię. Los każdego bogom jest wiadomy,
Ale Roma nie zginie.... Roma przetrwa wieki!...
Idź, niech ci sen spokojny zaklei powieki!...
(ściska ją, Marcya wychodzi).

Scena II.

WETURYA *(sama).*
Stało się... Jéj niewinność nie wzruszyła losu...
A jam się tak starała o zwrócenie ciosu
Daleko od serc drogich!... W lot chwytałam wieści!...
(po chwili z bólem).
Mój Marcyusz zdradza Romę!
(jęk mimowolny, przechadza się, cisnąc czoło dłońmi. Po chwili).
Niech choć myślą one,
Że to jest szał chwilowy... Niech te dni minione,
Straszny czas jego hańby, niech wieczna pomroka
Osloni oczom córki... dla małżonki oka...
(ze smutkiem).
Synowie się dowiedzą... z dziejów... Och! godzina,
W któréj ojciec wzrok spuści przed spojrzeniem syna!!!...
Nieszczęsny!!
(Zasłania twarz i staje jak skamieniała, po chwili zda się wraca do siebie i siada zadumana).
Dzień już świta... Matko Koryolana,
Naprzód!... przed tobą droga krwią syna zalana...
Wolskowie go zabiją... On ocali Romę!
Ocali Romę! *(zarzuca wierzchnią szatę, po chwili).*
Drogi obowiązku strome
Dla mężów nadto dumnych...
(klęka przed larami, bóstwami domowego ogniska).
O bogi domowe,
Wy strzeżcie sławy naszéj!... niech na jego głowę
Żadna kropla nie spadnie krwi bratniéj... los srogi
Niech raczéj dom nasz zmiażdży przed plamą, o bogi!...

Scena III.

WCHODZI WOLUMNIA, ZA NIĄ MARCYA.

WOLUMNIA.
Już wyszła... O tak rannéj już wyszła godzinie...
Twoja babka zamęcza się... Jabym tak rada,
Żeby spoczęła trochę... wypoczynku trzeba
Po trudach dni tak długich sędziwéj starości...
(po chwili).
Marcyo... ja się obawiam... ja to dobrze czuję,
Dziwny jakiś niepokój Weturyą nurtuje...
To nie sam tylko smutek po syna wygnaniu...

Wśród zimy (str. 27).

To nie sama tęsknota... Zaraz po rozstaniu
Weturya w górę niosła dumne czoło swoje...
Teraz ją troska trawi... Marcyo, ja się boję...
Może jakie złe wieści od ojca twojego..,

MARCYA.

Gdyby wieść jaka przyszła, byłabyś wiedziała...

WOLUMNIA.

O, bo i mnie sny dziwne wieszczą coś strasznego!
Matki... mają przeczucia... Gdy Tullia skonała,
Najmłodsze moje dziecię... ileż łez, ach! ile
Wypłakałam nocami, nim okropną chwilę
Przeżyłam jéj skonania!...

MARCYA.

O, matko kochana!
Nie płacz, wrócą ci bogi twego Koryolana
Nie zdoła niecna zawiść pokonać go zdradnie,
Roma u stóp wygnańca skruszona upadnie.

WOLUMNIA.

Oby cię, córko droga, wysłuchały nieba!...

MARCYA *(sadza Wolumnią, klęka przy niéj).*

Siądź tu, matko... On wróci... ochraniać się trzeba...
Nie chcę, żeby pobladły te lica kochane...
Wszak on rzekł: „Niech przy zdrowiu was tutaj zastanę!”
A moja droga matka jaki przykład daje,
Gdy się tak strasznie martwi?
Mnie się serce kraje,
Gdy widzę łzy twe, matko. Córka twoja młoda
Niechaj ci posłuszeństwa przykład tutaj poda,
Chciałam mu towarzyszyć. — On zostać rozkazał.
(mimowoli zamyśla się).

A ciebie, matko, prosił, byś rozdział znosiła,
Jak żona Rzymianina... Gdyby się ukazał
W téj chwili... Cóżby ujrzał?... Moja matko miła,
On mi twoję spokojność polecił i zdrowie,
Matko! a ty mi więdniesz!... Jak spojrzę ku niemu,
Cóż on, spojrzawszy na cię, swojéj córce powie,
Która nie wydołała zadaniu swojemu?
(całuje matkę po rękach).
Jak te ręce wychudły!...

WOLUMNIA *(uśmiecha się przez łzy).*
Droga Marcyo miła,
Tyś do niego podobna!

MARCYA.
Ach, jam zawiniła
Jeszcze nie dawno, matko... dziś ci wyznać muszę —
Lecz gniewać się nie będziesz na nas?

WOLUMNIA.
Co, na kogo?

MARCYA.
Na Marcyą twą... na Laryą... Mnie tak rwało duszę,
Póki ojciec był tutaj, słuchać go tak błogo!
Byłam na Forum z Laryą, kryjomo... dwa razy...
To ja ją uprosiłam...

WOLUMNIA.
Ach! co za obrazy
Stawiasz przed moje oczy smutne!..

MARCYA.
Jego chwała,
To słońce drogi naszéj, o matko jedyna...
Choć dziś się ona zdaje mgłą posępną sina,
My nie zbłądzim, o matko, bo to słońce pała!
A gdyby chwilę zbladło... to w sercu rodziny
Powinno się odnowić!...

Scena IV.

TEŻ SAME I NIEWOLNICA.

NIEWOLNICA.
Pani, od godziny
Lud się w koło waszego gromadzi mieszkania,
Świekra twoja jest w Atryum i ciebie przyzywa...
Podobno że poselstwo lud śle do was, pani,
I do niéj...

MARCYA.
Matko moja! ty będziesz szczęśliwa,
Ty słońce Koryolana wynurzysz z otchłani,
Ty matko i Weturya.
(na ruch zadziwienia Wolumnii).
Śpiesz! tam ci powiedzą...
(Wolumnia wychodzi, za nią niewolnica).

Scena V.

MARCYA SAMA.

Czy dość przygotowałam? Biedna ukochana!
Ją powoli zabija ta tęsknoty rana!...
(zamyśla się i przechadza, z wybuchem).
Ach! ale jak ja cierpię, bogowie to wiedzą!...
(po chwili).
Cicho! Wszak jam Rzymianka!
(z dumą) Jam krew Koryolana
(pasuje się z sobą).
Ja mam przykład Weturyi.
(po chwili) Więc to prawda była...
Prawda, kiedy lud posły do babki przysyła...
(zamyśla się).
Nie!... nie!... nie!... Chwała jego nie będzie skalana!
(pada na kolana, kurtyna zapada).
(d. c. n.)

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieńczona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dalszy ciąg).

— Dowiedziałem się — rzekł adwokat głosem wyrażającym współczucie — że masz młodszego brata, który jest ociemniały. Wielkie to nieszczęście.

— Prawda, panie — odrzekł Tomasz z westchnieniem — wielkie nieszczęście.

— Mówiono mi, że mógłby wzrok odzyskać.

— Tak utrzymuje doktor, który go widział.

— Jakieżby to było szczęście, gdyby mu wzrok przywrócono; jakżebyście się z tego uradowali, ty i matka twoja!

— Ach, tak! — zawołał Tomasz, wzruszony do głębi — Codziennie modlę się o to do Boga. Na wyleczenie jego zacząłem nawet zbierać pieniądze, ale mam dotąd bardzo niewiele.

Na te słowa adwokat, włożywszy ostrożnie okulary na nos, rzekł spokojnie:

— Jakiéj potrzeba sumy na jego wyleczenie?

— Doktor powiedział, że sto dolarow wystarczy.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem adwokat tak daléj mówił:

— Słuchaj, chłopcze, gdyby ten pan tu obecny złożył w twoje ręce sto dolarów, czy gotów jesteś przyrzec, że nikomu nie wyjawisz tajemnicy?

Na te słowa Tomaszowi krew uderzyła do głowy; czuł silne bicie serca, a w głowie mu się kręciło. Wszak za sto dolarów brat jego może wzrok odzyskać, a nie żądają za to od niego kłamstwa, tylko milczenia. Niewielu chłopców, kochających swych braci, zdołałoby się oprzeć tak wielkiéj pokusie.

ROZDZIAŁ III.

Wyrzuty sumienia.

Tomasz uległ pokusie. Czego nie zdołała uczynić obawa osobistego niebezpieczeństwa, to sprawiła nadzieja przywrócenia wzroku ociemniałemu bratu. Myśl, że Benjamin może odzyska wzrok i będzie mógł spojrzeć mu w oczy, a przytem widzieć wszystko, co go otacza: domy, kwiaty i drzewa, ludzi i ptaki, a nawet gwiazdy, rozsiane na sklepieniu nieba, zatarła poniekąd w duszy Tomasza różnicę pomiędzy słusznością a niesłusznością; czuł ją wszakże, kiedy z pewnem wahaniem wyrzekł stanowcze słowo: „Przyrzekam". Wszakże nie zobowiązuję się do żadnego kłamstwa ale tylko do milczenia, tak sobie pocichu rozumował, a za sto dolarów Benjamin będzie widział.

Adwokat Pleadwell zdjął okulary, włożył je ostrożnie do puzderka, a puzderko do kieszonki od kamizelki. Był zadowolony, bo załatwił trudną sprawę. Po chwili rzekł:

— Tomaszu, winszuję ci, że jesteś tak rozsądnym chłopcem; jeżeli tak daléj postępować będziesz, to z czasem stać się możesz bogatym człowiekiem i chlubą naszéj okolicy.

Tomasz nie wiedział, jak to uważać, czy za pochwałę, czy za szyderstwo; nic więc nie odrzekł.

Pleadwell wziął kapelusz ze stołu, dał znak panu Carolanowi, takie było nazwisko nieznajomego, i obaj opuścili kancelaryą, upewniając chłopca, że zaraz powrócą. Tomasz nie ruszył się z miejsca; wszystko w nim się burzyło. Czy

słusznie postępuję, zapytywał siebie? Co powie na to Benjamin? Co powie na to matka? Milczenie nie jest jeszcze kłamstwem, ale czy nie chronię niem winowajcy od zasłużonéj kary? Kto wie, czy nie sprzedaję mego honoru za pieniądze? Może lepiéj byłoby cofnąć przyrzeczenie? Może lepiéj byłoby pracować i czekać, dopóki nie zbiorę pieniędzy na wyleczenie Benjamina? Duszę jego ogarnął wielki niepokój, który gdyby trwał dłużéj, możeby go pobudził do cofnięcia danego przyrzeczenia. Wtem wszedł pan Carolan, a zamknąwszy ostrożnie drzwi za sobą, zbliżył się do niego i w milczeniu wręczył mu sztuka po sztuce dziesięć dziesięciodolarowych biletów. Tomasz nigdy nie miał na raz tyle pieniędzy. Posiadanie téj sumy przytłumiło głos sumienia, bo poza nią widział brata z odzyskanym wzrokiem. Otrzymane pieniądze złożył niezgrabnie i umieścił w bocznéj kieszonce kamizelki. Z widocznem zadowoleniem spoglądał na to Carolan, ale nie rzekłszy ani słowa, usiadł spokojnie na krześle, które przedtem zajmował.

Tomasz myśląc, że już wszystko załatwione, podniósł się i zbliżył do drzwi, gdy wtem wszedł adwokat Pleadwell, położył kapelusz i dał mu znak, żeby zajął krzesło; następnie, włożywszy okulary na nos, w te słowa przemówił:

— Radzę ci, iżbyś przed ukończeniem procesu nie robił żadnych wydatków z tych pieniędzy, a przytem ostrzegam, iżbyś nikomu się nie zwierzał z ich posiadania, a tem mniéj ze sposobu, w jaki do nich przyszedłeś. Dla twego własnego dobra powinieneś być bardzo ostrożny. Czy rozumiesz?

Tomasz skinął głową, a Pleadwell ciągnął daléj:

— Chciałbym pomówić z tobą jeszcze o jednéj rzeczy. Podobno widziałeś człowieka, postępującego w cieniu, który skrył się za węgłem w blizkości miejsca, gdzie wybuchł pożar?

— Widziałem go, panie.

— Jakże wyglądał? opisz go, jeśli możesz.

— Był on nizkiego wzrostu i nie miał faworytów. — Wtem jakaś myśl mu zabłysła, a spojrzawszy na Carolana, wskazał go palcem i rzekł — podobny był do tego pana.

Carolan złośliwie się uśmiechnął, a Pleadwell rzekł:

— Nie o to idzie, Tomaszu, do kogo on był podobny, lecz o to, żebyś w sądzie tak samo go opisał, bo chcę cię wziąć na świadka. Spodziewam się, że w sądzie to samo powiesz o jego powierzchowności, jak obecnie.

— Tak jest — rzekł Tomasz — powiem samą prawdę.

— Niczego też innego od ciebie nie żądam. Nie chciałbym, iżby świadek, przezemnie przyzwany, miał kłamać. Pamiętaj więc znajdować się na posiedzeniu sądowem od wtorku za dwa tygodnie, o godzinie 9-éj z rana. Czy zgoda?

— Dobrze, panie.

Poczem adwokat, spojrzawszy na zegarek, który wyjął z kieszeni, rzekł:

— Już wielki czas, śpiesz się, abyś się nie spóźnił na pociąg — a otworzywszy drzwi, przywołał woźnego, kazał mu towarzyszyć Tomaszowi, kupić bilet i wsadzić do wagonu. Za chwilę obaj znajdowali się na ulicy, szybko dążąc do stacyi kolei żelaznéj.

Jakaż była teraz różnica w zachowaniu się Tomasza. Przed dwiema godzinami, kiedy jechał z Dryden do miasteczka, był bardzo rozmowny i tysiącem pytań obrzucał swego towarzysza. Obecnie, kiedy powracał, był milczący, a na czynione mu zapytania odpowiadał tylko półsłówkami. Tak dalece był zajęty trapiącemi go myślami, że nic go nie zajmowało, ani oświetlone sklepy, ani ludzie, i machinalnie postępował obok swego przewodnika. Zdawało mu się, że jakiś wielki ciężar go przygniata, że pali go pierś w tem miejscu, gdzie pieniądze się znajdowały. Zdawało mu się, że przechodzący ludzie spoglądali nań pogardliwie, jakgdyby wiedzieli, że dał się przekupić. Wyraz ten tak mu zadźwięczał w uszach, że przykuł go do miejsca; stanął więc, nie wiedząc co czynić, i opamiętał się dopiero na głos swego przewodnika.

Kiedy Tomasz przybył na stacyą, wziął z rąk woźnego bilet, wsiadł do wagonu i skrył się w najciemniejszym kąciku. Tu nowa nastąpiła walka, nowe wyrzuty sumienia i nowe dowody na usprawiedliwienie jego postępowania. Wszedł konduktor, obejrzał bilety, a Tomaszowi się zdawało, iż przenikliwszym na niego spojrzał wzrokiem, niż na innych podróżnych. Oczywiście było to tylko złudzenie. Po chwili podniósł się, a stanąwszy w oknie, przypatrywał się krajobrazowi, chcąc zapomnieć o całéj téj sprawie.

Drobny deszcz zaczął padać, robiło się coraz ciemniéj, a okolica, przez którą pociąg przejeżdżał, była ponura i smutna. Tomasz napróżno starał się rozerwać, przykre jego myśli ciągle powracały i przytłaczały mu duszę. Wyraz „przekupiony”, nie dawał mu spoczynku. Zdawało mu się, że wymawają go podróżni, siedzący w wagonie, a nawet powtarzają koła wagonu jednostajnym swym łoskotem.

Przybywszy na miejsce, wyszedł z wagonu; szedł pomału, widocznie nie śpieszył się do domu, czuł się bardzo nieszczęśliwym. Dziwił się, że posiadanie stu dolarów, o których tak dawno marzył, nie sprawia mu radości. Bądź co bądź, do ukończenia śledztwa postanowił nic nie wspominać o pieniądzach; przestraszała go sama myśl, że może matka i brat nie pochwalą jego postępowania. Tomasz był dzielnym chłopcem; w obecności matki i brata udawał wesołość. Opisał im swoję wycieczkę do Wilkesbarre, opowiedział, co widział i słyszał, ale nic nie wspomniał o pieniądzach. Przy wieczerzy udawał, że ma wielki apetyt, chociaż nic mu nie chciało przejść przez gardło, a pod pozorem wielkiego znużenia wcześnie udał się na spoczynek.

Wypadki dnia tego długo nie pozwoliły mu zasnąć. Usiłował przekonać siebie, że słusznie postąpił, atoli czuł, że dopuścił się czynu ubliżającego jego honorowi. Ciekawy był, jak matka i brat przyjmą tę wiadomość, lecz do prawdziwéj rozpaczy doprowadzał go wyraz „przekupiony”, który ustawicznie dźwięczał mu w uszach.

Zmowa trwała już od kilku tygodni; nie można było przewidzieć jéj końca. Z każdym dniem powiększała się niedola upartych górników. Rodzina Taylor, wyczerpawszy wszystkie środki, zmuszona była naruszyć dwadzieścia dolarów, zaoszczędzonych na przywrócenie wzroku Benjaminowi. Tomasz starał się o robotę, ale napróżno. Spóźniona pora roku nie sprzyjała pracy; bardzo wielu mężczyzn i chłopców pozostawało bez żadnego zajęcia. Tomasz Taylor, nie chcąc być zupełnie bezczynnym, przypomniał sobie o otwartéj dla każdego chłopca sąsiedniéj szkole ludowéj, tam się też udał. Od najwcześniejszéj młodości lubił książki, i wiele rzeczy pożytecznych z nich się nauczył. Trzeba przyznać, że umiał bardzo dobrze czytać; nieraz też w chwilach wolnych od zajęcia całemi godzinami czytywał głośno Benjaminowi. Teraz, kiedy był zupełnie swobodny, głośne czytanie bratu zajmowało mu większą część dnia. Czytał wszystko, co tylko miał pod ręką, a kiedy książek mu zabrakło, czytał stare gazety.

W kilkanaście dni po dopiero co opisanych wypadkach, podczas pięknego dnia jesiennego, Tomasz i Benjamin, trzymając się za ręce, wyszli po południu z chaty i zwrócili ku pagórkowi, leżącemu w stronie zachodniéj wioski. Na południe od pagórka stały zgliszcza spalonego składu węgli, a na północ wiła się srebrzysta wstęga pieniącéj rzeki Susquehany, która w znacznéj odległości ginęła w wązkiéj dolinie, a okrążywszy zatokę Campbell, przerzynała ku zachodowi góry Niebieskie, następnie zaś spływała w uroczą dolinę Wyoming.

Piękna pogoda dnia tego usposabiała do rozmyślań i marzycielstwa. Kiedy stanęli na szczycie pagórka, Benjamin spoczął na ciepłéj trawie, a Tomasz, położywszy się obok brata, przez niejaki czas spoglądał na oddalone wierzchołki gór. Biedny Tomasz! miał przed sobą wspaniały widok, ale nic nie widział, duszę jego przejmował niewysłowiony niepokój; nic nie pomogły błahe usprawiedliwienia, jakiemi starał się przytłumić ustawicznie budzący się głos swego sumienia... cierpiał bardzo wiele!

Leżąc na tem słonecznem miejscu z otwartemi oczami, dostrzegającemi wszystko, co go otaczało, rzeczywiście nie więcéj widział, niż jego ociemniały brat Benjamin. Myślał jedynie o sprawie, jaka za trzy dni miała się w sądzie odbyć, o tem, jakie czynić mu będą zapytania i co odpowie. Rozważał, że po ukończeniu śledztwa będzie musiał powiedzieć matce i Benjaminowi o stu dolarach. Nie wiedział, czy we właściwy sposób zdoła opowiedzieć swe pobudki tym, którzy go tak kochają i których on tak kocha. Bardzo był ciekawy, jaką od nich otrzyma odpowiedź. Nie był pewny, czy pochwalą go za przywiązanie do brata i korzystanie dla jego dobra z nadarzającéj się sposobności. Być może, że go zganią za to, iż nie umiał się oprzeć pokusie i dał się przekupić. Niestety! im bardziéj się zastanawiał, tem bardziéj był pewny, że czyn jego zasłuży na naganę.

Kiedy tak rozważał całą tę sprawę, przyszło mu na myśl zbadać zapatrywanie się na nią Benjamina, w ten sposób, iżby nie obudzić jego podejrzenia. Zastanowiwszy się więc chwilę, zwrócił się do brata i rzekł:

— Benjaminie, czy sądzisz, że Jakób Rennie był zdolny podpalić skład węgli?

— Wcale o tem nie wątpię — odpowiedział Benjamin — był on już raz oskarżony o podpalenie jakiegoś domu, ale uwolniono go dla braku dowodów. Znajomi jego powiadają, że jest on bardzo złym człowiekiem.

— Dajmy na to, Benjaminie — mówił Tomasz — że przywrócono ci wzrok i że widziałeś Jakóba Rennie, podpalającego skład węgli; czy powiedziałbyś o tem, coś widział?

— Powiedziałbym — odrzekł Benjamin stanowczo — gdybym sądził, że bez mego powiedzenia nie zostałby ukarany.

— A gdyby on podpalił dla tego tylko, aby się nam przysłużyć, aby zmusić właściciela do podwyższenia nam płacy?

— Nie mamy prawa palić tego, co do nas nie należy — odrzekł Benjamin--a gdybym znał podpalacza, to śmiałobym go oskarżył, gdyby...—tu Benjamin zatrzymał się—gdybym się nie bał prześladowania; wszak wiesz, że Jakób należy do uczestników zmowy.

— A cóżbyś wtedy zrobił, gdyby jeden z ludzi należących do zmowy, powiedział ci: Benjaminie Taylor, jeśli powiesz, że Jakób Rennie podpalił skład, to wyrwiemy ci język.

Benjamin przez chwilę milczał, wreszcie rzekł:

— Zdaje mi się, że i wtedybym powiedział, potem wziąłbym pistolet w rękę i nie pozwolił żadnemu z tych ludzi zbliżyć się do mnie.

Odpowiedź młodszego brata rozśmieszyła Tomasza. Wyobrażał sobie, jak biedny ociemniały chłopiec opędza się z pistoletem w ręku napaści kilku hultajów.

— Dajmy teraz na to, Benjaminie, że widziałeś człowieka podpalającego skład węgla; a podpalacz, zbliżywszy się do ciebie, powiedział ci: Benjaminie, nikomu nic o tem nie mów, co widziałeś, bo jeśli powiesz choćby słówko, to spalę wasz dom i zabiję brata twego Tomasza. Cóżbyś wtedy uczynił?

Benjamin nie wiedział na razie co odpowiedzieć; wreszcie rzekł:

— Gdybym sądził, że spełni swą groźbę, to nie wiem, cobym uczynił... myślę wszakże, że nicbym nie powiedział, ale w żadnym raziebym nie skłamał.

(d. c. n)

SZARADA (Żabka z nad Smotrycza).

Me *pierwsze* wspominasz, gdy mówisz o sobie,
Me *drugie*, to miesiąc w zielonéj ozdobie,
Me *trzecie* najpierwsze u króla każdego,
A *cała* z napoju ja słynę mocnego,
Jeżeli zaś jeszcze wszystkiego nie wiecie,
To powiem... żem wyspą. Teraz już zgadniecie.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Samotnik ze Stawiszcz).

Z następujących zgłosek: a—ce—dolf—e—gram—kra—ko—kno—lar—le—le—le—no—o—o—po—po—ri—so—słon—ta—tes—top—ty—wa—wel — ułożyć wyrazy: 1. Mędrzec grecki. 2. Ozdoba wojskowego. 3. Miejsce słynne zwycięztwem Napoleona 1-go. 4. Imię męzkie. 5. Ciało niebieskie. 6. Moneta. 7. Rzeka w Ameryce. 8. Klęska. 9. Przedmiot niezbędny w mieszkaniu. 10. Historyk polski. Początkowe i końcowe litery, odczytane od góry do dołu, utworzą nazwy dwóch miast w południowéj Rosyi.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Niteczki Aryadny:

W pożegnanie grają lasy
Barw tysiącem pełnych krasy,
Wiosną łąki tu się tęczą,
Starodrzewne lasy wieńczą
Miedzią, złotem i rubinem,
I szmaragdem i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni,
I w dobrane gra kolory.

Wincenty Pol.

Trójkącika geograficznego:

M O K A T A M
O P O R T O
K U D A K
A L B A
T E T
A A
M

SPROSTOWANIE.

W N-rze 2. „Wiecz Rodz." str. 14 szpalta 2-ga wiersz 2-gi czytaj;

Trzeba cię plenić, deptać,
Ty robaku ziemny.

TREŚĆ: Do wszystkich czytelników. — Wyścigi psów (z drzew.) — Przygody Lisia p. Wielisława. — Wśród zimy, wiersz p. Z. Morawską (z drzew.)—Wycieczka na Ś-ty Krzyż p. Stanisława z Warszawy.— Córka Koryolana, obraz historyczny p. Maryą Leonę. — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek.** Kolos Rodyjski (z drzew). Sierotka, wiersz p. Maryą Leonę. — Płócienne szmatki p. Z. Morawską. — Królewiątko p. Kazimierę. —Łamigłówka i rozwiązanie.—Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Января 1888 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego. Mazowiecka Nr. 11.